

Oddech Aniołów...i mój powrót do Mordoru.

Niektórzy pamiętają zapewne moje zmagania w ubiegłym roku podczas TDS – biegu, który tak mnie zaczarował, że wróciłam tam po roku. Ukończyłam wydłużoną 119km trasę ze świetnym wynikiem. Była inna pogoda, inne wrażenia i inne wspomnienia.

Te wspomnienia dedykuję mojej córce Dominice.

.....Dzień zapowiadał się słoneczny i ciepły. Błękit nieba dodawał optymizmu choć oczy zamykały się, a ciało wołało spoczywać w ciepłym łóżeczku pod kołderką, a nie na zimnym betonie.

Siedziałam na schodach przy zamkniętym budynku szkoły w Courmayeur czekając na start. Minał rok od moich morderczych zmagañ z niepogodą i zimnem na alpejskich ścieżkach. Nie jeden by się zniechęcił, wybrał by jakiś inny bieg, w cieplejszym klimacie, łatwiejszy do pokonania. Ale mnie coś tu przyciągało jak magnes, wołało, zjawiało się we snach i czekało....aż znowu przyjdę, przyjadę, przybiegnę....

....Ciekawe czy się pokażą? Czy je poczuję tak jak wtedy...? I kiedy ? I czy w ogóle? Jak ja sobie poradzę? Pytania bez odpowiedzi zalewały mnie niczym fala w czasie przyływu....

Z zadumy wybudził mnie głos Wojtka: " Hej, chodźcie tu, otworzyli budynek. Idziemy do środka! Bo wiecie, chodzi o termę. Nie możemy marznąć". My z Wojtkiem najlepiej wiemy, co to znaczy marznąć. Oboje stoczyliśmy walkę z zimnem rok temu. Z taką różnicą, że ja wygrałam, a Wojtek pokonany przez hipotermię zszedł na Cormet de Roselend. W tym roku uzbrojony w optymizm, trzynaście jednostek żywieniowych spoczywających w plecaku i dwie jednostki ubraniowe, nie zamierzał się poddawać i miał mocne postanowienie dotrzeć do końca wyścigu.

Tłum biegaczy szybko wypełniał hall. Olo, mój towarzysz popędził w kierunku toalety. Poczułam skurcz w brzuchu i udałam się w tymże kierunku. Stres cichaczem wkradał się w moje ciało, podświadomie mając zamiar najwyraźniej zagościć tam na dłużej. "Nie, to już przesada"-myślałam, - "precz!", nie będę się przejmować wcale. Zrobię to, co mogę, pobiegnę najlepiej jak potrafię. Jestem dobrze przygotowana. Poza pierwszym 36 kilometrowym odcinkiem znałam trasę i wiedziałam, czego się spodziewać. Miałam doświadczenie. Uspokoilałam się trochę...Ostatnie minuty.. Zamieszanie... Jeszcze wspólne zdjęcie przed startem. Uśmiech zagościł mi na twarzy, gdy usłyszałam głos Wojtka pouczającego Ola : " Wiesz, ty się z nią nie ustawiaj. Ja rok temu przez 30km dotrzymałam jej kroku. A potem....wiesz, jak się skończyło"....Usłyszałam odpowiedź: "Spoko Stary, dam radę".

Ruszyliśmy.... Promyki słońca oświetlały piękne uliczki włoskiego miasteczka. Setki kibiców wołając dzwonili alpejskimi dzwonkami. Atmosfera cudowna, niezapomniana i wyjątkowa. Każdy czuł się wyróżniony.

Za miasteczkiem zaczęło się podejście. W ubiegłym roku prowadziło do Col du Yolaz, gdzie

utknęliśmy w gigantycznym korku i pomarziśmy nie na żarty. W tym roku organizatorzy zmienili trasę omijając ten szczyt. Dołożono kilometrów i wydłużono drogę przez Włochy. Mieliśmy się wspiąć na Arete Du Mont-Favre (2435) i zbiec do Lac Combal, gdzie po 15km był pierwszy punkt żywieniowy. Zasuwałam pod górę energicznie pracując kijami. Olo dotrzymywał mi kroku. Do jeziora dobiegliśmy razem. Punkt był bogato zaopatrzony we włoskie przysmaki. Pyszne sery, szynki parmeńskie, ciasta, bakalie, owoce. Podawano też rosół. Nie potrzebowałam uzupełniać camelbacka. Ograniczyłam się więc do kawałka chleba i sera, szybko wypiłam kubek coli i ruszyłam przed siebie. Widoki zapierały dech. Zatrzymaliśmy się na chwilę, aby zrobić wspólne zdjęcie. Przed nami było podejście na Col Chavannes (2603).



Trochę w górę, trochę w dół. Podobno zbiegam nie najgorzej. Olo widząc moje odważne zbiegi "na łeb na szyję" trzymał się zdrowego rozsądku i nie pędził na złamanie karku za "szaloną kobietą". Odległość między nami się zwiększała.....



Na szczycie odetchnęłam pełną piersią. Widoki na Alpy na chwilę przytwierdziły mnie do podłoża. Delektowałam się każdym skrawkiem zielonych łąk, skalnych szczytów i lodowcem na dole. Zaczął się zbieg do Arpettes, skąd czekało mnie podejście do przełęczy Col Du Petit St-Bernard łączącej Włochy z Francją. Biegłam i czułam jak rosną mi skrzydła. W głowie nieustająco grała piosenka Stachury "Cudownie jest, powietrze jest...." Właśnie tu i teraz było cudownie. Raj na ziemi, plaster na ranę, kompres na zranioną duszę, chwila ukojenia....Cudownie jest...

I wtedy poczułam ich obecność. Jednak przyszły, przyleciały, odnalazły mnie - Anioły Alpejskie. Bawiły się moimi włosami, łaskotały po policzkach i śmiały się zachęcając do psot. Czułam niesamowity przyływ energii. Coś we mnie wstąpiło. Leciałam jak opętana przed siebie mało nie gubiąc nóg. Dzwoniący telefon kazał mi jednak na chwilę zwolnić. Jarek zaniepokojony tempem mojego biegu chciał upewnić się, że wiem, co robię. Uspokoiliam go. Wkrótce miało się zacząć podejście, a tam już nie popędzę.

Nagle usłyszałam okrzyk: "Zobacz, to ta dziewczyna z Polski". Odwróciłam się i pozdrowiłam dwóch rodaków. Niestety miny mieli niezbyt radosne. Jeden z nich męczył się prawie od startu - kłopoty żołądkowe. Poratowałam go znanym wszystkim biegaczom środkiem farmakologicznym skutecznie uniemożliwiającym korzystanie z toalety przez co najmniej trzy doby po spożyciu (oby zadziałało!) i modląc się o zdrowie mojego układu pokarmowego pięłam się w górę.

Kiedy dotarłam do przełęczy słońce było wysoko i choć alpejski wietrzyk głaskał włosy i

chłodził twarz, temperatura powietrza zmuszała do częstego sięgania po rurkę camelbaka. Musiałam uzupełnić wodę. Colę piłam litrami czując coraz większe pragnienie. Szybka przekąska i już zbiegałam do Seez. Upał doskwierał coraz bardziej. Mijałam biegaczy w długich spodniach współczując im niezmiernie. Miałam na sobie spodnie 3/4 i koszulkę z krótkim rękawkiem, a mimo to czułam jak pot leje mi się po plecach. Cieszyłam się, że umiem zbiegać. Pomagałam sobie kijkami, co oszczędzało nogi. Miały jeszcze sporo przed sobą. Kręta ścieżka wiła się w dół, a unoszące się kłęby kurzu zatykały nos utrudniając oddychanie.



Do Bourg Saint- Maurice wbiegałam przy głośnych owacjach mieszkańców i bębnach lokalnego zespołu muzycznego, który akurat tego dnia na cześć nas, biegaczy wygrywał nadzwyczaj żwawe utwory perkusyjne zagłuszające jakiegokolwiek inne dźwięki. Na tym punkcie był możliwy assistance w postaci rodziny, przyjaciół i kibiców, którzy mogli coś podać, zabrać, przebrać, ucałować, pogłaskać i dodać otuchy. Przed startem omawiając support z przyjaciółmi odmówiłam mojej grupie assistance konieczności przyjeżdżania tutaj. Miałam za sobą dopiero 50km, na kolejnym punkcie czekał na mnie przepak, gdzie do dyspozycji był mój worek z rzeczami na noc. Szkoda, aby się męczyli i nakładali drogi aż tu, na drugi koniec Alp, gdzie miałam zamiar spędzić parę minut. Po uzupełnieniu wody, wlaniu w siebie pół litra coli i zjedzeniu kawałka bagietki z rosołem ustawiłam się do wyjścia. Niestety musiałam przejść kontrolę.

Kobieta przy bramce poprosiła o pokazanie czołówki, kurtki przeciwdeszczowej i telefonu. Wyciągnęłam wszystko. Zwróciła mi uwagę, że mam tylko jedną czołówkę, a muszą być dwie.

Zacząłam jej tłumaczyć, że drugą mam na przepaku w Cormet de Roselend. Miałam super czas i bez problemu dotrę tam do nocy. Poza tym przy czołówce był zapas baterii. Wredna baba jednak się uwzięła dalej twierdząc, że muszą być dwie. Po jaką cholere mam targać dwie! Jeszcze się zapocą w tym skwarze i nie będą działać. Kobieta chyba się nie wyspała albo pokłóciła się z partnerem.. Nie wiem skąd w niej było tyle złości. Zawołała ratownika i zaczęła wskazując na mnie tłumaczyć mu sytuację. Stałam niewzruszona i czekałam. Ratownik spojrzął na mnie, potem odwrócił się do "krzykaczki" i kazał nie robić problemu. Machnął, żebym szła do przodu. Dziękuję, Aniołki za pomoc ! Biegłam nie oglądając się za siebie. Tyle czasu stracone na głupie gadanie...

Zacząłam najdłuższe podczas całej trasy podejście z Bourg St. Maurice (813 m.n.p) na Passeur De Pralognan (2567). Lubię podchodzić. Chwaliłam w myślach narty biegowe, na których spędziłam każdy zimowy weekend. Dzięki temu mogłam w pełni wykorzystać moje tricepsy i użyć siły rąk wykorzystując kijki i odciążając nogi.

...."Najpierw powoli jak żółw ociężale"...mijam kolejnych sapiących jak parowozy zawodników. Porównywałam się do małej lokomotywy. Model niezbyt nowy, ale w pełni sprawny. Ba, sprawniejszy nawet od niektórych o 10 lat młodszych. Założyłam sobie, że bez odpoczynku dojdę do Fort De La Platte (1997). Pot ściekał mi po twarzy i sklejał oczy. Słońce, o które modlili się wszyscy rok temu teraz jak przekleństwo wisiało nad nami dając odczuć swój żar. Cieszyłam się, że uzupełniłam wodę. Miałam jeszcze colę w bidonie. Piłam naprawdę dużo. Głowa spuszczone, miarowe ruchy, ciągle do przodukurz i pył i niesamowita cisza.... No właśnie gdzie się podziały Anioły? Ucięły sobie drzemkę? Skąd ta cisza?

Podniosłam głowę i zobaczyłam w oddali kamienny mur fortu. Jeszcze jakieś 300 metrów podejścia. Ręce przykleiły się do kijków. Mijający mnie chłopak ciężko sapiąc zapytał po angielsku czy na górze jest woda. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że w ubiegłym roku nie było, ale woda wtedy lała się z nieba non stop. Może teraz będzie. Podbudowany nadzieją na zbawienny płyn przyspieszył ostro i wyminął mnie.....

Powoli...jak żółw....ociężale.... jeszcze troszkę...- myśli gotowały się jak w kotle. Nagle poczułam coś dziwnego. Zrobiło mi się ciemno w oczach. Zlana potem nie mogłam zrobić ani kroku dalej. Co jest? Przecież piłam! Przerwa była konieczna - i to teraz , natychmiast! Nie czekając na zaproszenie skorzystałam z zielonego dywanu alpejskiej soczystej trawy. I już po chwili przeżuając baton popijałam go resztkami coli i podziwiałam widoki. Na dole było miasteczko, które opuściłam jakiś czas temu. A dookoła bezkres gór. Piękne, majestatyczne, dumne Alpy. One tu rządzą. Słono zapłaci ten, kto nie ma respektu do ich królestwa.

Przerwa na odpoczynek nie trwała długo, a na górze rzeczywiście była beczka z wodą, przy której tłoczyło się sporo biegaczy napełniając bidony. Miałam spory zapas w camelbacku i zero zaufania

do tej wody z beczki. Darowałam więc sobie wodopój. Zatrzymałam się na chwilę, żeby założyć kurtkę. Nie było mi zimno, ale wiedziałam, że Passeur De Pralognan to nie żarty. Jeszcze miałam w pamięci dreszcze z ubiegłego roku i sine ręce zawodników. Tam wiatr może zerwać się w każdej sekundzie i wychłodzić do szpiku kości.

Droga do szczytu i zbieg odbył się bez przygód i około 18.30 szczęśliwie dotarłam na Cornet De Roselend.

Cornet De Roselend zrobił na mnie pozytywne wrażenie. To tu w ubiegłym roku ważyły się moje losy co do kontynuacji biegu, tu było ciasno, mokro, zimno i obco. Telefon nie działał i żadnej bratniej duszy wokół. A teraz? Muzyka na full, ledwo dobiegłam do namiotu jak wolontariusze włożyli mi mój worek do rak. Żadnych kolejek, w namiocie jak na kolacji bankietowej- czysta podłoga, stoły z pysznym jedzeniem, ciepło, sucho i przyjaźnie. Zasięgu oczywiście nie ma jak na końcu świata, a więc sms-y i telefony do mojego supportu mogłam sobie darować. Byłam bardzo głodna, zaczęłam od zupy. Taka sama jak w ubiegłym roku- fasolowa z makaronem. Pycha!. Potem dwa kubki herbaty i ciasto. Delektowałam się kolacyjką, kiedy poczułam, że ktoś bacznie mi się przyglądał. Był to zawodnik siedzący naprzeciw. Spojrzałam na niego pytająco. Zapytał, czy mówię po francusku. Nie, tego języka jeszcze nie opanowałam niestety. Powiedział łamanym angielskim, żebym przyjęła jego komplementy, że mnie podziwia i życzy powodzenia. Miły akcent wieczoru poprawił mi humor. " Bon courage"- odpowiedziałam mu z uśmiechem. Przed wyjściem chciałam się jeszcze przebrać. Mokre spocone ubrania szybko zmieniałam na suche – z worka wyskoczyła koszulka termiczna, długie spodnie na noc i suche skarpety. Wsadziłam do kieszeni parę batoników i ruszyłam w góry. Szybko, sprawnie i bez komplikacji. Poprawiałam odruchowo numer startowy. Znowu magia liczb. Rok temu w moim numerze startowym był rok urodzenia Daniela, mojego syna. W tym roku miałam rok urodzenia Dominiki. To dla niej, dla mojej córki biegłam tym razem.

I znowu podejście - na Col De La Sauce (2307). Śpieszyłam się gdyż chciałam jeszcze przy świetle dziennym zaliczyć jeden z moich ulubionych odcinków trasy – półkę skalną, gdzie walczyłam ze strachem sierpniowej nocy zeszłego roku. Było ciepło. Znowu się pociłam. Kurtka, która ratowała mi życie rok temu tym razem nie została nawet wyjęta z plecaka. Robił się półmrok, ale zdążyłam. Przy ścieżce ratownicy palili ognisko i ostrzegali przed niebezpiecznym odcinkiem. Nagle francuz biegnący przede mną przewrócił się i upadł na kamienie. Wyglądało groźnie, ale się pozbierał. To był znak: zaświecić czołówki. Swoją miałam na głowie, więc jednym przyciskiem wywołałam małe światełko. Ale gdy on zaświecił swoją znieruchomiałam. Miał czołówkę o mocy oświetlającej pół Alp. Niesamowite jak technika poszła do przodu nawet w temacie czołówek! Pozbierał się i już go nie było. Byłam w szoku, moja ledwo oświetlała ścieżkę w tym gąszczu roślin, a on widział każdy najmniejszy kamyczek. Z taką czołówką można biec nawet na koniec świata....

Przy La Gitte zrobiłam krótką przerwę na łyk coli i batonika. I znowu podejście....tym razem na Entre Deux- Nants (2164). Było ciemno jak w najczarniejszych snach. Podchodziłam badając przed sobą ścieżkę kijkiem, by nie wpaść w jakąś dziurę. I nagle uświadomiłam sobie, że jestem całkiem sama. Nie było biegaczy. Rozejrzałam się dookoła. Nie, nie pomyliłam trasy, wszystko w porządku. Tylko nie było nikogo obok. Albo popędzili do przodu oświetlając swoimi mega super czołówkami ścieżkę jak na autostradzie, albo byli za mną. I nowa piosenka zawitała do moich myśli. Tym razem Republiki " Gdzie oni są? Ci wszyscy moi przyjaciele? Zabrakło ich...." Piosenka tak zakotwiczyła się w mojej głowie, że nie mogłam zebrać innych myśli. Minęłam namiot ratowników na szczycie. Zapytali, czy jest ok, odpowiedziałam śpiewająco. Pozdrowili mnie uśmiechem i życzyli powodzenia.

Zostało mi niewiele do Col Du Joly. Jarek dzwonił, aby zapytać gdzie dokładnie jestem ponieważ wybierali się z Kasią i Robertem na punkt w Les Contamines. Niestety przypadkowo wyłączyłam zegarek i nie wiedząc jaki pozostał mi dystans z otaczającego mnie krajobrazu i wysokości wskazywanej przez zegarek, określiłam szacunkowo, że mam niecałe 3 km do punktu. Zaczęły się skały. Bardzo trudny odcinek po kamieniach. I nagle nie wiadomo skąd przyszła mgła. Biała jak mleko. Dopiero później uświadomiłam sobie, że weszłam w chmurę. Słyszałam muzykę z punktu, tym razem niestety nie Freddie. Jakaś szalona dyskoteka zachęcała do szybszego zbiegu. Ale jak tu zbiegać, kiedy ja własnych nóg nie widziałam. Zero widoczności na metr. Orientowałam się zgodnie z ubiegłorocznym doświadczeniem gdzie się znalazłam. Byłam na pastwisku, pamiętałam to miejsce z ubiegłego roku. W obawie bliskiego spotkania z krową szłam bardzo powoli przed siebie. Od jakiegoś czasu nie widziałam oznakowań szlaku, żadnej tyczki. Oblał mnie zimny pot. Ale tym razem już ze strachu. Byłam zupełnie sama. Piosenka o przyjaciółach ulotniła się nie wiem dokąd. Anioły chyba już były na imprezie w Col Du Joly, a ja próbowałam zająć myśli czymś innym niż strach przed zabłądzeniem w górach. Do głowy przychodziły jakieś głupie rymowanki w stylu " Chmurko, chmurko leć daleko krowy dziś nie dają mleka" albo "Nocą krowy nie śpią wcale żują trawę doskonale". Jeśli mogą nawiedzać kogoś w nocy koszmary, to te z krowami na pewno były by niezłe po takim ultrabiegu.

Kiedy zaczęłam tracić nadzieję na wyjście z chmury dogoniło mnie trzech francuzów. To oczywiście, że oświetlali więcej niż ja, więc ucieszyłam się na ich widok niczym Robinson, który spędził pół wieku na bezludnej wyspie gdzie jedynym towarzystwem były krowy. Szliśmy w rzędzie oświetlając łąkę w poszukiwaniu pacholków. Wreszcie pojawił się jeden. Wspólny okrzyk radości obudził drzemiące nieopodal milki. Zwierzęta patrzyły zdziwione w naszą stronę nie wiedząc skąd taka reakcja. Panowie ruszyli żwawo do przodu oświetlając drogę. Widząc moje słabe światelko nie zostawili mnie na tym pustkowiu, tylko bezpiecznie doholowali do Col Du Joly. Wielkie im dzięki za ten szlachetny czyn!

Na punkcie spędziłam tylko chwilkę. Zadzwonił Jarek i powiedział, że organizatorzy dają mi 1g40 min na zbieg do Les Contamines, gdzie czekała na mnie moja ekipa z upragnionymi ziemniakami w łupinkach posypanymi solą. Poprosiłam o te ziemniaki, kiedy mój żołądek zaczął się buntować odmawiając kolejnych batonów, bagietek i ciastek. Nie ma to jak smak domowych ziemniaczków.....wspomnienia smaków z dzieciństwa....

Leciałam tak szybko jak umiałam, choć zbieg przez las był technicznie trudny. I znowu sama. Żywej duszy obok brak...Tak mi już przyszło chyba w samotności ten bieg pokonać. Dobiegałam do Les Contamines. Niestety myśląc już chyba tylko o ziemniakach nie spojrzałam na oznakowania i pomyliłam trasę. Kiedy zauważyłam brak wstążek, nadrobiłam co najmniej kilometr. Musiałam zawrócić. Złość niosła mnie bardziej niż głód.

Wreszcie zobaczyłam światła uliczek i usłyszałam okrzyk :

" Natalka!" Robert wypatrzył mnie w ciemności. Na dzień dobry otrzymałam trzy komplementy: - że dobrze wyglądam, że jako nieliczna biegnę do punktu, a nie idę, że mam największe oczy i zaraz czwarty - że jestem najlżej ubrana (choć nie wiem, czy to był komplement). Było mi gorąco. Zdziwiona spojrzałam na mój support ubrany od stóp do głów z na dodatek w rękawiczkach. Odpowiedzieli pytaniem :

" Przecież jest mroźno, nie czujesz?" Nie czułam, choć para leciała mi z ust, co świadczyło o niskiej temperaturze. Jadłam rosół i upragniony ziemniak z solą i było mi dobrze prawie jak w domu. Kasia donosiła herbatę, Jarek robił zdjęcia, Robert wyciągał mi z plecaka niepotrzebne rzeczy (choćby kurtkę przeciwdeszczową). Szybko zaczęłam się zbierać. Wszyscy chórem śpiewali, że super wyglądam, świeżo i wspaniale i prawie jak nowo narodzona, jak po SPA . Kochani, oni wiedzieli najlepiej jak poprawić mi humor i dodać otuchy przed ostatnim bardzo trudnym odcinkiem morderczej trasy. Jarek obiecał spotkać mnie w Les Houches. Kasia z Robertem mieli czekać na punkcie na Ola.



Podchodziłam na Chalets Du Truc (1721) w nadziei zobaczyć Blanka. Ale niestety....W ubiegłym roku świeciło, kiedy byłam w tym miejscu. Teraz noc czarnym płaszczem przykryła wszystko dookoła. I tylko Duży Wóz zachęcał do przejażdżki. Był na wyciągnięcie ręki. Tak jak Księżyc – Rogalik. Pomachałam do niego pamiętając o Panu Twardowskim. Śmiał się tam teraz pewnie patrząc co wyprawiam po nocy. A na mnie już czekał mój ukochany Tricot. Co dla mnie dziś zgotuje? Poczułam zmęczenie...

Col Du Tricot wyglądał bajecznie. Tego nie można mu zarzucić. Przystojniak jakich mało. Wstęga światełek ozdabiała pionową prawie ścianę góry prowadzącej na ostatnią już przełęcz tego wyścigu. Przystanęłam na chwilę podziwiając jego sylwetkę. Przebiegający obok francuz zauważył, że się zatrzymałam i zapytał czy dobrze się czuję. Kiwnęłam, że tak. Musiałam nacieszyć się widokiem. No cóż, przyszło mi stoczyć walkę. Będzie mój!

Podchodziłam sprawnie, ale niezbyt szybko. Czułam niesamowite zmęczenie i denerwował mnie brak widoczności. Mam słaby wzrok od dziecka, biegłam celowo bez soczewki aby uniknąć konieczności wyjmowania jej w nocy, a do tego ta niezbyt dobra czołówka nie ułatwiała zadania. Miałam w plecaku drugą, ale nie była lepszej jakości, szkoda więc czasu na jej wyciągnięcie. Pocieszał mnie fakt, że ludzie do mnie nie zbliżali się tak szybko. Czyli mieli tempo wolniejsze ode mnie. To dodawało otuchy. Kiedy ponad połowę miałam za sobą, usłyszałam okrzyki z góry. To ratownicy i wolontariusze dopingowali wchodzących. Podniosłam głowę, aby oszacować jak daleko świecą ich latarki, kiedy poczułam dziwny odgłos. Głośny, denerwujący i połączony z

bólem. Najgorsza perkusja na świecie wygrywała marsza. Nie wiedziałam, czy był to marsz Żołnierzy Ołowianych, czy też jakiś inny. Wiedziałam jednak na pewno, że wygrywał go mój żołądek. Czułam potworny głód. Odruchowo namacałam batony w kieszeni plecaka, ale nie chciałam robić przerwy. Nie byłam też w stanie jeść idąc. W rękach trzymałam kijki, podejście było tak strome, że każdy wchodzący zawodnik miał problemy z oddychaniem. U mnie dołączył jeszcze okropny kaszel i duszności. Wysokość dawała się we znaki, cóż nie miałam zbyt dużo czasu na aklimatyzację. W mojej głowie był kocioł myśli. Cały mózg podzielił się na dwie połowy. Jedna to kapryśna Królowa, która chce mieć wszystko i natychmiast. Druga – waleczna opozycja w postaci służki cierpliwej, konsekwentnej i ambitnej. Taki oto dialog rozgrywał się w mojej głowie, gdy sapiąc, dysząc i kaszląc włączyłam prawie na czworakach na Col Du Tricot.

Królowa: -Jesem głodna!

Służka: - Trudno, trzeba poczekać.

K:- Ja nie chcę czekać.

S:- Zostało troszeczkę, wytrzymasz.

K: - Nie wytrzymam i będziesz miała mnie na sumieniu.

S:- Damy radę.

K: - Jestem zła i każę ściąć Ci głowę!

S:- Trudno, będziesz miała kolejny problem.

K:- Jaki?

S: - Samotność

K: - Nie zrobię ani kroku więcej.

S:- Przestań marudzić wreszcie i idź!

Nagle złapałam się na tym, że ostatnie zdanie wykrzyczałam na głos. Wspierająco-dopingująca grupa na górze odebrała to jako okrzyk w ich stronę i natychmiast odpowiedziała jeszcze głośniejszym sloganem połączonym z oklaskami. Oświecali latarkami ścieżkę, bym mogła lepiej widzieć. Zdobyłam Tricota w godzinę. Byłam wyczerpana.

Batonika jadłam zbiegając. Nie chciałam się wychłodzić więc sunęłam do przodu. Czekał mnie najgorszy zbieg jak kiedykolwiek widziałam. Piaszczyste leje, kamienie, korzenie i skały. Teren był strasznie nierówny, a do tego noc i słaba widoczność nie ułatwiały zadania. Nie pamiętam już ile razy zaliczyłam upadki i ile razy wstawałam aby biec dalej. Pomagałam sobie kijkami. Musiałam wyglądać jak ślepiec z dwiema laskami, który po omacku bada grunt.

Nareszcie najgorszy odcinek do Bellevue miałam za sobą i kiedy myślałam, że nic złego już mnie nie spotka, usłyszałam wołanie ratownika : "Attention!" . Nie wiem kiedy moje nogi poślizgnęły się na błotnistej kamienistej ścieżce i już leciałam na ziemię. Moim oczom ukazały się gwiazdozbiory, jakich nie powstydziliby się najlepszy podręcznik z astronomii. Czułam silny ból w

dolnym odcinku kręgosłupa. Musiałam wydać naprawdę głośny okrzyk, ponieważ zawodnik załatwiający niezwłoczną potrzebę w okolicznych krzakach podskoczył ze strachu nie przerywając czynności.

Z trudem udało mi się wstać. Ból był nie do zniesienia. Zaczęłam iść kuśtykając i jęcząc przy każdym kroku. Pocieszałam się, że to chyba nic poważnego, tylko stłuczenie, skoro mogę chodzić. Teren robił się bardziej przyjazny dla nóg. Próbowałam więc powolutku biec.

Ból ograniczał prędkość, ale trudno. Najważniejsze, że poruszałam się do przodu. A to zawsze bliżej mety. W lesie było ciemno choć zbliżała się siódma. Chmury dodatkowo ograniczały widoczność. Bliżej, coraz bliżej.....

Na skraju lasu czekał Jarek. Oddałam mu czołówkę i dalej pobiegliśmy razem. Przez punkt w Les Houches przemknęłam jak burza nie korzystając z niczego. Oby do mety. Jeszcze tylko 8 km takiej alpejskiej Drogi pod Regłami i zobaczę biały kościółek. Nie patrzyłam na zegarek, wiedziałam, że w nocy tempo mi spadło. Nie byłam w stanie biec szybciej nic nie widząc. Jednak Jarek był pełen optymizmu i twierdził, że jestem w stanie złamać 25 godzin. Szybko to obliczył, porównał z czasem pokonania tego odcinka w ubiegłym roku i dopingował do biegu. Jeśli ktoś myśli, że ta fajna droga z Les Houches do Chamonix jest płaska, to ogromnie się myli. Nie ma to jak ponad setka w nogach, ból i zmuszanie się do biegu ponad wszystko. Wtedy nawet niewielki podbieg zmusza człowieka do dodatkowego wysiłku fizycznego i psychicznego. Zaczęłam stawiać sobie



cele. Najpierw dogonić zawodnika w białych rękawkach. Zaliczone! Został z tyłu. Zbliżałam się do kolejnego. Kiedy go doszłam, przemówił po polsku. Był to Marek, poznaliśmy się dzień wcześniej. Mieszkał w Balkonach tak jak my i jak się okazało mieliśmy go zabrać z mety. Marek wyglądał na zniechęconego : "Jakiś Mordor ten bieg"- powiedział. Jarek zachęcił go do dotrzymania nam towarzystwa w łamaniu 25 -ki. I zaczęło się ściganie dwóch żółwików. Jak na mężczyznę przystało Marek był silniejszy, więc wyprzedził mnie o parę minut.



Przed metą czekali na mnie Kasia z Robertem i nie wiadomo skąd nagle wyskoczył Bartek. Co za miła niespodzianka.

"Złamałaś 25!"- krzyczeli chórem razem z Jarkiem, a fala szczęścia zalewała moje ciało. Założyłam upragnioną czerwoną tym razem kamizelkę finiszerkę i nogi podę mną się ugięły.

Padłam na kolana przed białym ślicznym kościółkiem, jedynym w swoim rodzaju, jedynym jaki zrobił na mnie wrażenie i dziękowałam tym niesfornym małym Aniołom Alpejskim, które nade mną czuwały.



W tegorocznym TDS wystartowało 1525 osób w tym 165 kobiet. Mimo dobrej pogody bieg ukończyło tylko 1020 zawodników w tym 99 kobiet.

Ja dotarłam do mety jako 18-ta kobieta w czasie 24:56:27 zajmując 236 miejsce w open.

Natalia Haczyk

Zdjęcia:

Jarosław Haczyk, Aleksander Sobieraj, Katarzyna Urbańska, Franck Oddoux.